

# Opowieści niesamowite (4) z języka angielskiego

wybór, wstęp i noty o autorach  
Maciej Płaza

przełożyli

Violetta Dobosz, Jerzy Jarniewicz,  
Barbara Kopeć-Umiastowska, Jerzy Krzysztoń,  
Robert Lipski, Irena Malanowska, Janina Mroczkowska,  
Jadwiga Olędzka, Maciej Płaza, Sławomir Studniarz,  
Aldona Szpakowska, Marcin Szuster, Maria Traczewska,  
Iwona Żółtowska

Państwowy Instytut Wydawniczy

John William Polidori

Wampir

przełożył

Maciej Płaza

Zdarzyło się pewnej zimy, w rozhulanym jak zwykle londyńskim karnawale, że na przyjęciach u najznamienitszych osób z towarzystwa jał bywać pewien dżentelmen, bardziej wyróżniający się swą osobliwością aniżeli wysokością urodzenia. Szalejącej naokół wesołości przyglądał się tak, jak gdyby sam nie mógł brać w niej udziału. Beztroskim podśmiewaniom przysłuchiwał się bodaj tylko po to, by natychmiast dławić je swoim spojrzeniem i wzbudzać lęk w duszach pełnych dotąd bezmyślnego wesela. Ci, co ulegli tej bojaźni, nie umieli wyjaśnić, skąd się wzięła. Byli tacy, co sądzili, że z jego martwych, szarych oczu, które spoglądając rozmówcy w twarz, zdawały się jej nie przenikać, nie sięgać do najskrytszych drgnień serca, lecz raczej muskały policzek ołowianym promieniem nieznośnie ciężącym na skórze. Dżentelmen ów był tak osobliwy, że wszędzie go zapraszano. Wszyscy pragnęli go zobaczyć, ci zaś, co przywykli już do gwałtownych podnieceń i ciążyła im nuda, byli radzi, że pojawia się coś, co może przykuć ich uwagę. Jakkolwiek twarz jego była trupio blada, nietknięta najbledszym nawet rumieńcem ani skromnym pąsem, ani wypiekami świadczącym o jakiejś żarliwszej namiętności – choć przecież kształt i rysy miała urodziwe – wiele osławionych pożeraczek męskich serc starało się zwrócić jego uwagę i zaskarbić sobie przynajmniej cień czegoś, co mogłyby nazwać afektem. Lady Mercer, która od swego zamążpójścia stała się pośmiewiskiem wszystkich salonowych potworów, również straciła dlań głowę i miała się wszelkich szachrajskich zabiegów, by zaskarbić sobie jego

względy, lecz na próżno: gdy stał naprzeciw niej, niby patrzył jej w oczy, lecz tak, jakby w ogóle ich nie zauważał – na nic zdał się jej niezrównany tupet, musiała dać za wygraną. To, że zwykle cudzołożnice niezdolne były nawet przyciągnąć jego wzroku, nie znaczyło jednak, że płeć niewieścia była mu obojętna; z zacniejszymi małżonkami i ich niewinnymi córkami rozmawiał wszakże z taką ostrożnością, że wielu nawet nie widziało, by kiedykolwiek wszczynął rozmowę z kobietą. Był natomiast znany ze swej wymowności i czy owa reputacja była przemożniejsza nawet niż lęk przed jego osobliwym usposobieniem, czy też aż taki podziw wzbudzała jego widoczna pogarda dla rozpusty, otaczały go zarówno kobiety szcycące się cnotliwością i wiernością małżeńską, jak i te, co kalają swą płeć rozwiązłą konduita.

Mniej więcej w tym samym czasie zjechał do Londynu młody dżentelmen o nazwisku Aubrey. Osieroceni jeszcze jako dzieci, on i jego siostra byli dziedzicami wielkiego majątku. Pozostawiony samopas również przez opiekunów, którzy za swój wyłączny obowiązek uważali dogłądanie jego fortuny, ważniejsze zadanie kierowania jego umysłem cedując na najemnych podwładnych, Aubrey chętniej rozwijał swoją wyobraźnię niżli zdolność sądzenia. Nabił sobie głowę wzniosłą romantyczną wiarą w honor i szczerłość serca, tą samą, która codziennie doprowadza do upadku tyle niewinnych gryzetek. Gorąco wierzył, że wszyscy cenią sobie cnotę i prawość, a występki pojawiają się w świecie z woli Opatrzności wyłącznie jako malownicza dekoracja, tak jak to bywa w romansach: mniemał, że chłopska bieda sprowadza się do odpowiedniego doboru strojów, z pewnością ciepłych, tyle tylko, że poukładanych w nieregularne fałdy i przystrojonych barwnymi łatami, iżby lepiej prezentowały się oczom malarza. Krótko mówiąc, był przekonany, że poetyckie marzenia są równie rzeczywiste jak życie. Był przystojny, szczerzy i bogaty, toteż gdy tylko pojawił się w towarzystwie, od razu otoczył go tłum matek pchających przed sobą wiedzące już

bądź rozswawolone jeszcze córki, te zaś w jego towarzystwie natychmiast rozpromieniały liczka i z błyszczącymi oczyma chłoneły każde jego słowo, co rychło wprawiło go w mylne przekonanie, że jest pełen rozlicznych zalet i zdolności. Ponieważ zaś dotąd jedynym źródłem jego wiedzy o świecie były książkowe romanse, rychło odkrył ze zdumieniem, że w tych przyjemnych historiach i opisach, które pochłaniał w trakcie samotnych wieczorów, jedyną rzeczą mającą cokolwiek wspólnego z prawdziwym życiem są łojowe i woskowe świece, migoczące nie tyle zresztą wskutek obecności duchów, ile dlatego, że domagają się zgaszenia. Pewną pociechą było dlań to, że na salonach stale łechtano jego próżność, skłaniał się już więc do tego, by porzucić lube rojenia – gdy nagle, u samego zarania kariery, natknął się na owego niezwyklego osobnika, którego opisaliśmy powyżej.

Aubrey począł mu się przyglądać. Ponieważ zaś nie mógł pojąć, jakiż charakter może mieć ktoś, kto tak bez reszty jest pochłonięty własną osobą – kto o tym, że w ogóle zauważa dookoły świat, rzadko zaświadcza inaczej, niżli unikając z nim kontaktu, czyli tylko pośrednio, milcząco potwierdzając jego istnienie – a do tego posiadał bujną wyobraźnię i przepuszczał przez nią wszystko, co schlebiali jego skłonności do ekstrawagancji, obserwował go raczej jako bohatera romansu niż osobę rzeczywistą. Zapoznał się z nim i jął okazywać mu zainteresowanie, czynił to zaś z takim zaangażowaniem, że wkrótce nieznamy niezawodnie rozpoznawał go w tłumie. Stopniowo Aubrey wywiedział się, że interesy lorda Ruthvena są obciążone długami, a z przygotowań zaobserwowanych na \*\*\*\*\* Street wynniósł, że sposobi się on do wyjazdu. Pragnąc zasięgnąć więcej informacji o tym dziwnym osobniku, dotąd miast zaspokoić jego ciekawość jedynie ją rozniecającym, dał do zrozumienia swym opiekunom, że już najwyższy czas wyruszyć w podróż, którą – jak mniemano od wielu pokoleń – powinien podjąć każdy młodzieniec, iżby co rychlej zyskać rozeznanie w niegodziwościach tego świata,

zrównać się pod tym względem ze starszymi i nie wpadać w osłupienie, gdy ktoś będzie wychwalał uroki intryg i skandali – podług tego, jaką sam osiągnie w tej materii biegłość. Opiekunowie zgodzili się, Aubrey niezwłocznie podzielił się tedy swym zamiarem z lordem Ruthvenem, ten zaś, ku jego zdumieniu, zaproponował mu wspólną podróż. Aubreyowi bardzo pochlebiło, że został wyróżniony przez kogoś, kto wyraźnie stroni od mężczyzn, zgodził się więc z zadowoleniem i nie minęło kilka dni, a razem popłynęli przez burzliwe morze na kontynent.

Do tej pory Aubrey nie miał okazji, by poznać bliżej charakter lorda Ruthvena, teraz zyskał znacznie większą możliwość obserwacji jego poczynań, wszelako odkrył, że wydają się one sprzeczne z przyświecającymi im motywami. Jego towarzysz był niezwykle hojny: każdy próżniak, każdy włóczęga, każdy żebrak dostawał odeń sutszą jałmużnę, niż tego wymagały jego najpilniejsze potrzeby. Adresatami jego dobroczynnych gestów, jak rychło zauważył Aubrey, nie byli bynajmniej cnotliwcy, których własna prawość nie uchroniła przed popadnięciem w niedolę: tych lord Ruthven odprawiał spode drzwi z ledwie skrywanym szydliwym uśmiechem, ilekroć natomiast poprosił go o wsparcie jakiś utracjusz, pragnący nie tyle ulżyć swej biedzie, ile dać upust żądzy i jeszcze głębiej pogрузić się w bececzeństwach, odchodził szczerze obdarowany. Aubrey tłumaczył sobie jednak, że niegodziwcy są po prostu bardziej natarczywi, mają więc przewagę nad cnotliwymi, lecz wstydliwymi biedakami. Z jego lordowską mością wiązała się też jeszcze jedna dająca do myślenia okoliczność: każdy, kto otrzymał odeń jałmużnę, nieuchronnie przekonywał się, że jest to dar przeklęty, albowiem bądź to trafiał na szafot, bądź popadał w jeszcze głębszą i wstrętniejszą nędzę. W Brukseli oraz innych miastach, przez które przejeżdżali, Aubrey dziwił się gorliwości, z jaką jego towarzysz szuka siedlisk najwykwintniejszego występku. Z wielką pasją zaczął na przykład grać w faraona: obstawiał odważnie i zawsze wy-

grywał, chyba że trafił na jakiegoś znanego szulera – wówczas tracił więcej, niż wygrał wprzód. Wszelako i jedno, i drugie przyjmował z tym samym kamiennym wyrazem twarzy, z którym zwykle przyglądał się dookolnemu towarzystwu. Inaczej natomiast się działo, gdy trafił na jakiegoś zapalnego nowicjusza bądź pechowego ojca licznej rodziny – zaiste, w takich razach sama natura zdawała się naginać swe prawa podług jego życzeń: pozorne roztargnienie znikало bez śladu, a oczy lorda rozżarzały się większym blaskiem niżli ślepia kota, gdy igra z na wpół zabita myszą. W każdym mijanym mieście pozostawiał za sobą młodzieńca, co jeszcze niedawno opływał w dostatki, teraz zaś, wyrwany z towarzystwa, którego był ozdobą, gnił w więziennym lochu i przeklinał los, jaki zetknął go z tym karcianym demonem. Jakoż i niejeden ojciec, ogołocoony ze swego potężnego majątku do ostatniego pensa, zasiadał ogłupiały wśród wymownych spojrzeń milczących, głodnych dzieci, nie mając już nawet za co ich nakarmić. A jednak lord Ruthven nie bogacił się przy karcianym stoliku: każdego dukata, którego dopiero co wyrwał z drżących rąk niewinnego pechowca, natychmiast przegrywał na rzecz jeszcze większego pogromcy. Być może rzeczywiście grał biegle, lecz przecież nie na tyle, by pokonać graczy bardziej doświadczonych. Aubrey pragnął uświadomić to swemu przyjacielowi, chciał błagać, by zaniechał tych dobroczynnych gestów, które koniec końców rujnowały wszystkich pospołu i nie przynosiły mu żadnego zysku, wciąż jednak to odwlekał, odkładał z dnia na dzień – wciąż liczył, że przyjaciel wreszcie da mu okazję do szczerzej, otwartej rozmowy, lecz moment taki nie nadchodził. Czy to w powozie, czy wśród dzikich, bujnych uroków natury lord Ruthven zachowywał się zawsze tak samo: jego oczy mówiły jeszcze mniej niżli usta. Choć więc Aubrey miał obiekt swej ciekawości na wyciągnięcie ręki, nie odniósł z tego żadnych korzyści prócz tej, że daremne pragnienie złamania tajemnicy miało wciąż niegasnącą podniechęć – nic tedy dziwnego, że jego egzal-

towana wyobraźnia poczęła doszukiwać się w niej działania sił nadprzyrodzonych.

Wkrótce obaj przybyli do Rzymu i po raz pierwszy na pewien czas się rozdzielili: lord każdego ranka bywał w salonie pewnej włoskiej hrabiny, Aubrey zaś jął zwiedzać ruiny kolejnego niemal opuszczonego miasta. Tymczasem nadeszły listy z Anglii. Aubrey otwierał je rękoma drżącymi z niecierpliwości. Jeden był od siostry i nie zawierał nic prócz gorących wyrazów tęsknoty, pozostałe były od jego opiekunów i wielce go zdumiały. Jeśli już pierwej Aubrey powziął podejrzenia, że jego towarzysz podróży jest dzierżcą jakichś nieczystych sił, treść tych listów niemal niezbitce je potwierdziła. Opiekunowie nalegali, by Aubrey natychmiast rozstał się z przyjacielem, twierdzili, że jest to osobnik zatrwającą nikczemny, w swym wyuzdaniu zaś o tyle niebezpieczny dla społeczeństwa, o ile zbrojny również w nieodpartą moc uwodzenia. Wyszło na jaw, że lekceważenie, jakie okazywał cudzołożnicom, nie wynika stąd, iżby żywił dla nich wzdargę i czuł do nich nienawiść. Wręcz przeciwnie: prawdziwe spełnienie osiągał wówczas, gdy swą ofiarę, współniczkę w grzechu, udawało mu się zrzucić ze szczytu nieskalanej cnoty w najgłębszą otchłań hańby i poniżenia. Podobno wszystkie te kobiety, o których względy zabiegał, po jego wyjeździe zламаły znowę milczenia i nie wahały się publicznie rozgłosić, z jakim zwyrodnialcem miały do czynienia.

Aubrey postanowił nie zadawać się więcej z człowiekiem, którego charakter wydaje się pozbawiony jakichkolwiek jasnych punktów. Umyślił sobie, że wynajdzie jakiś wiarygodny pretekst, by rozstać się z nim na dobre, a tymczasem baczniej mu się przyjrzy, by nie przeoczyć żadnej, nawet najdrobniejszej okoliczności. Zaczął się pojawiać w tym samym towarzystwie i rychło zorientował się, że jego lordowska mość stara się zdobyć względy niedoświadczonej córki owej damy, u której często bywa. W Italii kobieta niezamężna rzadko pojawia się publicznie, plan musiał być więc przeprowadzony



w sekrecie, Aubrey nie spuszczał wszakże lorda z oka i rychło odkrył, że jest już umówiona tajna schadzka, która zapewne doprowadzi ową niewinną, lecz bezmyślną dziewczynę do upadku. Nie tracąc czasu, wtargnął na pokoje lorda Ruthvena i spytał go bez ogródek, jakie żywi zamiary względem młodej damy, informując równocześnie, że wie o planowanym już na tę noc spotkaniu. Lord Ruthven odparł, że zamiary ma dokładnie takie, jakich można się w podobnej sytuacji domyślać, na natarczywe zaś zapytanie, czy zamierza się z nią ożenić, jedynie się zaśmiał. Aubrey wyszedł, po czym niezwłocznie powiadomił na piśmie jego lordowską mość, że z tą chwilą zmuszony jest odstąpić od zamiaru towarzyszenia mu w dalszej podróży, następnie rozkazał swemu służącemu, by poszukał innego mieszkania, a wreszcie odwiedził matkę owej młodej damy i wyjawiał jej wszystko, co było mu wiadome nie tylko o jej córce, ale i o charakterze jego lordowskiej mości. Schadzka została udaremniona. Nazajutrz lord Ruthven oznajmił przez służącego, że przystaje na zerwanie kontaktów, nie zdradził jednak, czy wie, że jego plany zostały zniweczone wskutek interwencji Aubreya.

Po wyjeździe z Rzymu Aubrey skierował się do Grecji; szybko przemierzył Peloponez i wkrótce znalazł się w Atenach. Tam zamieszkał w domu pewnego Greka i począł szukać pamiątek starożytności, na wpół zatartych śladów dawnej chwały, które jakby wstydząc się, że są kroniką czynów ludzi, co z wolnego narodu stali się narodem niewolników, chowały się pod warstwą gruntu lub skrywały pod wielobarwną pokrywą mchów i porostów. Pod tym samym dachem mieszkała zaś istota tak piękna i delikatna, że mogłaby pozować do obrazu przedstawiającego rajskie rozkosze obiecywane wyznawcom Mahometa – wszelako spojrzenie jej oczu było tak wymowne, że niepodobna było sądzić, iżby mogła stać się własnością tych, co nie mają duszy. Gdy tańczyła na równinie lub wędrowała górkim zboczem, nawet gazela nie mogłaby dorównać jej pięknnością – któż nie wolałby popatrzeć w jej

oczy, istne uosobienie ożywionej natury, niż w senne ślepią zwierzęcia, w swej zbytliwości stosowne jedynie dla epikurejskich gustów? Lekkostopa Ianthe wielokrotnie towarzyszyła Aubreyowi w antykwarycznych poszukiwaniach i często też tak się zapędzała w pogoni za jakimś kaszmirskim motylem, że całe jej piękno rozwijało się przed nim niby żagiel na wietrze. Młodzieniec chłonał żarliwym wzrokiem sylwetkę sylfidy i tak się zatracił w kontemplacji, że niekiedy zastęgał z zatartą tabliczką w ręku, zapominając dopiero co odcyfrowanych liter. Gdy przemykała obok niego, promień słońca rozigrywał się nieraz w jej bujnych lokach delikatną tęczę tak olśniewających, ulotnych odcieni, że można wybaczyć młodemu antykwariuszowi roztargnienie, można zrozumieć, że przedmiot, który jeszcze przed chwilą wydawał mu się niezbędny do właściwej interpretacji ustępu z Pauzania, ulatywał mu z głowy. Po cóż jednak opisywać czar, który każdy odczuwa, lecz nikt go nie docenia? Była to wcielona niewinność, młodość i piękno, niezspsute tłokiem salonów i duchotą sal balowych. Aubrey odrysowywał w szkicowniku obiekty, które pragnął zachować w pamięci na przyszłość, a ona stała obok i przyglądała się, jak jego ołówek wyczarowuje pejzaż jej rodzinnych stron. Opowiadała mu, jak niegdyś tańczono w kręgu na otwartej równinie, w najżywszych barwach odmalowywała wspomnienia ze swych najmłodszych lat, opisywała ślubne gody, które widziała, będąc jeszcze dziecięciem. Wreszcie przeszła do rzeczy, które wiadać najsilniej wryły jej się w pamięć: zasłyszanych od niańki historii niesamowitych. Snuła je z taką żywością, a nawet wiarą w ich prawdziwość, że w końcu wzbudziła ciekawość Aubreya. Gdy opowiadała o wampirze, który przez długie lata żył nierozpoznany w kręgu najbliższych przyjaciół, zmuszony każdego roku wyssać życie z nadobnej niewiasty, iżby przedłużyć swe istnienie o kolejne miesiące, młodzieniec czuł, jak krew stygnie mu w żyłach – choć zarazem próbował obśmiewać te historie jako próżne i straszne bajania. Ianthe